№ 22. 1. Czerwca. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub $1\frac{1}{2}$ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Pan Dr. Jan Szlachtowski i jego artykuły o Zakładzie Ossolińskich.

Pod napisem „*Pan J. J. i jego artykuły o zakładzie Oss.*" umieścił p. Szl. w Nr. 5. „*Pamiętnika literackiego*" ostatnią swoją odpowiedź. Przyjmując artykuły pana J. J. bez żadnego zastrzeżenia, przyznaliśmy się do zupełnej zgodności z jego zdaniem i przyjęli temsamem wszelką za nie odpowiedzialność. Przeto ostatni artykuł p. Szl. ma dla nas nadpis: „Tygodnik lwowski i jego artykuły o zakładzie" i stosownie do tego ostatecznie nań odpowiadamy.

Umieszczając pierwszy artykuł p. J. J., nie myśleliśmy, aby ztąd tak szeroka polemika urosła. Artykuł ten mówił o Zakładzie i o mianowaniu p. Szl. zastępcą dyrektora, jako o rzeczach, o których nie tylko wolno, ale owszem najświętszym jest obowiązkiem, mówić publicznie. A mówił bardzo oględnie, gdyż Zakładowi wypominał tylko jego kilkudziesięcioletnią „omdlałość, opieszałość", podczas gdy wzgląd na bezskuteczność tylokrotnych podobnych w niejednym już dzienniku polskim zarzutów mógł ostatniemu wypomnieniu naszemu nadać słusznie nieskończenie więcej goryczy — zaś o wyborze p. Szl. nadmieniał on jedynie, że jest „niespodziewanym", że nie chcąc zresztą występować z góry przeciw p. Szl., mamy „prawo wymagać, aby dał się nam poznać." Jeźli więc która z obu wzmianek artykułu jakiejkolwiek odpowiedzi spodziewać się mogła, była to chyba wzmianka o „omdlałości" Zakładu, gdyż na uczynione panu Szl. wezwanie, aby usprawiedliwił swój wybór, mogła tylko przyszłość jego dyrektorstwa słuszną być odpowiedzią. Wszakże wypadło wcale inaczej. P. Szl. odpowiedział, ale odpowiedział wcale nie w zamiarze bronienia Zakładu. Bo dla niego zakład istnieje tylko od r. 1839, tj. od czasu, od którego on „ma honor należeć do dyrekcji." Na cały poprzedni przeciąg, który według p. Szl. nawet katalogu xiąg nie zostawił, albo jeźli nowych lat 10 na samém katalogowaniu zejść miało, takowy źle sporządził, ściska on ramionami i potwierdza przeto najzupełniej nasz zarzut „zmarnotrawienia przez Zakład długiego lat szeregu." Nie broniąc zaś Zakładu, jął się p. Szl. tem goręcej obrony swego włatnego 11letniego kustoszsotwa, o co go nikt nie nagabywał, co bynajmniej do rzeczy nie należało, boć cała jego czynność kustoszowska ani była jedynym celem Zakładu w przeszłości, ani też dostateczną rękojmię uzdolnienia p. Szl. do dyrektorstwa na przyszłość stanowić może. W taki więc sposób, pomijając milczeniem główny zarzut, a zajmując nas niepotrzebnie swoją własną przeszłością, odwrócił p. Szl. rozprawę od właściwego celu, skierował ją na pole własnej osobistości i przedłużył nad spodziw polemikę. Jednakowoż, lubośmy tego nie pragnęli, jesteśmy radzi temu. Nie otrzymawszy bowiem nawet odpowiedzi na pierwszą, główną wzmiankę o „omdlałości" Zakładu, zostaliśmy przez to oświeceni dokładnie względem wzmianki drugiej, wyrażającej wątpliwość co do uzdolnienia p. Szl. na dyrektora, wzywającéj go, aby się nam „dał poznać." Swojemi odpowiedziami na artykuły p. J. J. zniszczył p. Szl. wszelką w tej mierze wątpliwość, dał się poznać zupełnie. Mniemamy, że zwłaszcza po bliższem tego poniżej wyjaśnieniu cała bezstronna publiczność na zdanie nasze się zgodzi.

Nim do tego wyjaśnienia przystąpim, prosimy pana Szl. sumiennie zważyć, iż on sam do dzisiejszej z nim rozprawy nas zniewolił. Pierwsza wzmianka o p. Szl. w naszem piśmie, powtarzamy, oświadczała się, że nie ma nic przeciw jego osobie, przyznawała mu nawet pewne zalety, wzywała go tylko, aby nie zawiódł położonego w nim zaufania. Zarozumiałość p. Szl. połechtała go do dwukrotnej zaczepnej odpowiedzi, odpowiedzi te odsłoniły całą nieudolność p. Szl., wyjawiły całą fałszywość jego pojęć o wielkim Zakładzie naukowym, a ten nowy rezultat nie tylko daje nam powód, lecz owszem wkłada na nas obowiązek, rozprawić się tu ostatecznie z p. Szlachtowskim.

Czynimy to częścią przypomnieniem toku całej polemiki, częścią odparciem argumentów jego ostatniej odpowiedzi.

Otóż gdy w pierwszym artykule o tyloletniej nieczynności Zakładu nadmieniono, p. Szl., nie przeciwny temu zarzutowi co do czasu przed 1839, stanął w obronie całego po 1839 przeciągu, twierdząc, iż dyrekcja zadaniu swemu odpowiedziała, skoro katalog xiąg sporządziła. Gdy mu zaś na to sprawiedliwie zarzucono, że Zakład Oss., jako zakład naukowy w najszerszem słowa tego znaczeniu mający tyle innych obowiązków i środków działalności, nie-

jest zwyczajną bibljoteką, że przeto sporządzenie katalogu bibljotecznego jest zapewne konieczną ale podrzędną, zwłaszcza w przeciągu lat kilkudziesięciu, czynnością — nie odparł p. Szl. w swojej ostatniej odpowiedzi ani słowem tego zarzutu, pominął p. Szlachtowski ten zarzut jako rzecz błahą, niegodną odpowiedzi. Przypominamy mu więc powtórnie tę różnicę między Zakładem naukowym a samą bibljoteką, jesteśmy zmuszeni oświecić go, że dyrekcja która tak długo Zakład naukowy jako gołą bibljotekę traktowała, pełniła chyba obowiązek kustosza, lecz nie dyrekcji naukowej, jesteśmy zmuszeni dodać, iż dyrektor, który owej różnicy nie pojmuje, jest może stworzony na kustosza lecz poniży Zakład jako dyrektor.

Gdy panu Szl. dalej o zaniedbaniu przez Zakład g ł ó w n e g o obowiązku, tj. wydawania czasopisma wspomniano, nie znalazł p. Szl. w swojej ostatniej odpowiedzi ani jednego słowa. Powtarzamy mu więc, iż wydawanie czasopisma i to takiego pisma, któreby wszystkie umysłowe siły kraju koncentrowało, któreby dopiero takiem ich w swojém ognisku skoncentrowaniem naukową opinję kraju kształciło i za granicą godnie reprezentowało, jest walnym obowiązkiem Zakładu naukowego —powtarzamy, że dyrekcja, która, icząc jedynie od normalnego dla p. Szl. roku 1839, w jedynastu latach tylko przez cztery lata czasopismo wydawała, głównego przeto obowiązku nie dopełniła, że nareszcie dyrektor który podobne zarzuty milczeniem zbywa, który tego głównego obowiązku nie pojmuje, albo, żadnego zaufania w znanych talentach krajowych nie wzbudzając, skupić je w koło siebie nie może, i przeto ku ostatecznemu poniżeniu zakładu w kraju i za granicą liche pismo z a k ł a d o w e wydaje, jest zakałą zakładu.

Gdy Zakładowi obowiązek ogłaszania rekopismowych zabytków przypomniano, nazwał je sam p. Szl. w swej pierwszej odpowiedzi „*skarbami*”, ale w końcu temi słowy rzecz zbywa: „*Jestto po większej części materjał zanadto surowy, rozerwany i ułamkowy, aby jakąkolwiek sam dla siebie całość przedstawiał, a wydanie iego w tej postaci nie wytrzymałoby krytyki dzisiejszej. Lecz dosyć tej polemiki...*” Zapewne, *dosyć* dla p. Szl., lecz nie dla publiczności! Publiczność słyszy z zdumieniem tak lekceważące zdanie dzisiejszego zastępcy dyrektora Zakładu o „skarbach” zakładowych, każdy literat uśmiecha się na argument pana Szlach. że niemożna rękopismow wydawać, ponieważ „*wydanie w tej* (surowej) *postaci nie wytrzymałoby krytyki.*“ Juźci nie godzi się nic wydawać „*w tej* (niedowarzonej) *postaci,*” a tylko w takiej, któraby wytrzymała krytykę. Juźci jeźli wydawanie rękopismow bibliotecznych jest w ogólności obowiązkiem, rozumie się pod tem, nie wydawanie złe lecz wydawanie dobre, krytyczne. Przeco cały argument pana Szlach. schodzi na naiwne zeznanie: Nie można wydawać rękopismow, ponieważ dyrekcja krytycznych wydań czynić nie umie. — I pocieszająca ztąd nadzieja, najswobodniejsza ze strony p. Szlach. zapowiedź na przyszłość, że za jego dyrektorstwa ani jednej publikacji dawnych historycznych i literackich zabytkow Zakładu nie ujrzymy.... O złości ludzka, o dusze jadowite, które wiecznie w Zakład bijecie, które zbawienności dyrektorstwa pana Szlach. nie uznawacie!

Ale to wszystko jeszcze niczem w porownaniu z odpowiedzią pana Szlach. na przypomnienie dalszego zakładowego obowiązku wykształcania młodzieży. Pan J.J. zacytował w tej mierze kilka paragrafów ustawy, z których mianowicie jeden nakazuje „*wprawiać ich* (stypendystów) *w roboty literackie*“ Na to odpowiada dzisiejszy zastępca - dyrektor w nrze 5 „*Pamiętnika literackiego*“ temi słowy: „*Miał w prawdzie Oss. ten* z a m i a r *i umieścił go w projekcie podanym do najwyższego potwierdzenia; ale właśnie te paragrafy nie otrzymały potwierdzenia*”—a o sześć wierszow niżej oskarza pana J.J., który tedy niezaprzeczony przez samego pana Szlach. z a m i a r Oss. ogłosił, że głosi f a ł s z e... Obłudni bałwochwalcy paragrafów! Ilekroć przyjdzie wam usprawiedliwić się z waszego niedołęstwa, zawsze gorliwcy gardłujecie: „W myśl tego i tego p a r a g r a f u ustawy”... Tylko w myśl szlachetnego O s s o l i ń s k i e g o, tylko w z a m i a r Ossolińskiego nigdy wam nie wejść! A kto wam tę myśl przypomni, tego zwiecie f a ł s z e r z e m! własnemi usty, w własnem piśmie Zakładu z a m i a r Oss. mienicie f a ł s z e m!... Ale nie unośmy się oburzeniem. Mówmy z kapeluszem w ręku, acz o bezwstydzie mówimy. Zróbmy panu Szlach. sucho uwagę, iż przecież ustanowienie stypendjow bogdaj w części zatwierdzonem zostało, gdy stypendyści bywali i są czasami w Zakładzie, że przeto bogdaj wczęści zamiaru Oss. względem nich dopełniać należało, że wreszcie dyrekcya, nie dopełniająca tego zamiaru, nie przyznawająca się nawet do niego, acz go sama przytacza, urąga własnemu przeznaczeniu, a dalszemi słowy pana Szlach. względem owych niepotwierdzonych paragrafow, nie tylko oburzającej wzgardy dla własnych obowiązkow, lecz nawet zupełnego niepojmowania istoty wszelkich publicznych zakładow jawnie dowodzi. Przyganiając bowiem panu J. J. zacytowanie „niepotwierdzonych punktow” i nauczając go, jak się o upatentowanych punktach dowiedzieć można, odzywa się dzisiejszy dyrektor zakładowy z emfazą: „*Ustawy Zakładu nie są tajemnicą, ktokolwiek chciał je czytać, chętnie* (o co za łaska!) *dyrekcya mu je udzielała i udziela.*” To znaczy: Ustawy Zakładu nie są tajemnicą — dla dyrekcji. Kto się jednak do jej łaskawej c h ę c i nie uda, ten o nich nigdy wiedzieć nie będzie. Także to pan Szlach., dyrektor publicznego zakładu, istotę publicznych Zakładow pojmuje? Więc głowna zasada Zakładu publicznego, ustawy zakładowe, o tyle tylko mają być znane, o ile ktoś osobiście widzieć, czytać je przyjdzie? Więc cały zakład publiczny ma tylko tem być dla

kraju, czem starożytna ruina dla okolicy. Kto żyw, może ją zwidzieć, podziwiać — ona sama nieżywa, niema, nie zda nigdy głośnej sprawy ze siebie, nigdy życia z siebie nie wyda, nigdy żywym wpływem do publiczności nie przyjdzie. A przecież takie właśnie zadanie ma każdy zakład publiczny. Kardynalną jego zasadą, pierwszym, nigdy nieprzedawnionym obowiązkiem jego, jest zdać jawną sprawę ze swego celu, ogłosić swoje statuta, obeznać publiczność rzetelnie, dokładnie ze swoim stanem obecnym, wskazać program swoich czynności na przyszłość, nie czekać aż publiczność do niego przyjdzie, ale przychodzić czynem do publiczności, natrącać się jej bez przerwy swoim wpływem, opanować swoim duchem publiczność. Własne słowa pana Szlach. dowodzą, że on najmniejszego pojęcia o istocie publicznych zakładów nie ma. Winszujmyż sobie swietnej przyszłośći jedynego w swoim rodzaju publicznego zakładu polskiego pod jego sterem!

Gdy wreszcie nieład w zakupowaniu książek zarzucono, wylicza pan Szlachtowski w odpowiedź kilkadziesiąt ksiąg zakupionych. Zechceż on jednak w istocie twierdzić, że dyrekcja nie dopuszczała się największej w tym względzie lekkomyślności, gdy mu powiemy, że my, co to piszemy, patrząc na zakupione przez Zakład, Bóg wie dla czyjego użytku, setki tłumaczeń lichych romansów francuzkich, nie znaleźliśmy w Zakładzie kompletu dzieł Lelewela po rok 1830 Naruszewicza—mówię Lelewela, Naruszewicza—w szczególności tego ostatniego klasycznej 2tomowej historji Karola Chodkiewicza—? A przecież, jak sam p. Szl. donosi „kupowała dyrekcja polskie xiążki nawet mniejszej wartości".

A gdy te wszystkie tak niewątpliwe, tak w niebogłosy krzyczące zarzuty czyniono, nie pojął nawet p. Szl., że je w publicznym interesie czynić można, lecz biorąc miarę z własnej zarozumiałej, urażliwej osobistości, wietrzył wszędzie prywatę, osobistość, posunął się w tej mierze do prawdziwej śmieszności, gdyby to co w Molierowskim gapiu bawi, w dyrektorze zakładu narodowego rozsmieszać mogło. Na pierwszy artykuł pana J. J. powtarzał p. Szl., „*że zawiść osobista była powodem*", że jego „*zarzuty z osobistych pobudek wynikły*." Gdy mu po drugim artykule wątku do oskarzania pana J. J. o osobistość nie stało, uroił on sobie, że jeżli nie p. J J., tedy koniecznie ktoś trzeci osobistą pobudką polemikę podniecać musi, ktoś trzeci jest panu J. J. „*informatorem*", któremu on „*za narzędzie służy*", którego on jest „*uczniem*", który go „*oszukuje*", i t. d. Cóż na taką poziomość charakteru odpowiedzieć? Czemuż p. Szl. nie postąpi sobie niby otwarciej od pana J. J., który się wymienił, i nie wymieni tego „*informatora*", jeżli go wie, jeżli się zaś tylko domyśla — jestto zapewne w obec tylu dowodów zupełnego niedomyślania się pierwszych obowiązków posady, jaką ma pretensję piastować, przynajmniej jeden d o m y s ł, ale i ten fałszywy.

Ani też upieprzą ten domysł złośliwe przycinki, czynione przez p. Szl. z ostatniego przycinkowego zatyłku polemiki, osobistości pana J. J. Owszem, strzały p. Szl. zwracają się na nieszczęście przeciw niemu samemu. Bo jeżli p. Szl. zarzuca panu J. J., że jest „*nieznany w piśmiennictwie naszem*" że „*nie przyjął wprzód namaszczenia literackiego*" nim o panu Szl. wspominać odważył się — Bożeż mój! — czemżeto p. Szl., dyrektor zakładu naukowego, obowiązkowy kierownik literackiego ruchu w kraju „znany jest w piśmiennictwie naszém"?— czem „przyjął namaszczenie literackie"? Czy może dyplomem szkolnym albo dekretem ministerialnym? Zaślepienie p. Szl. przechodzi wszelkie pojęcie. — Jeżli zaś p. Szl. panu J. J. po dwakroć przycina, że „*nigdy zbiorów Zakładu nie oglądał*", tedy odpowiadamy mu po prostu, że p. Szl., urywając Zadładowi codziennie po kilka najdogodniejszych godzin dla dopełniania swoich różnorakich obowiązków profesora przy uniwersytecie lwowskim, nie może wiedzieć, kto do Zakładu przychodzi, że — jak to z własnego przekonania wiemy — nawet za kustoszowstwa p. Szl., szczęśliwym mógł się nazwać, kto trzy razy w zakładzie bywszy, raz go obaczył. — Nie samże jednak p. Szl. zmusza nas mówić o tem?

Z tego wszystkiego zaś, cośmy tu o p. Szl., z danej przez niego samego sposobności, powiedzieli, wynika dla nas dostateczne przeświadczenie się o zakwestjonowanym tylko przez pierwszy artykuł p. J. J. teraz zaś niewątpliwie acz. negacyjnie wyjaśnionem uzdolnieniu p. Szl. na dyrektora publicznego zakładu naukowego, jakim jest zakład Oss. — i mniemamy mieć za sobą głos bezstronnej publiczności, twierdząc, iż człowiek, który nie uwzględnia różnicy między zwyczajną biblioteką a wielkim zakładem naukowym — który pomija milczeniem przypomnienie obowiązku wydawania *odpowiedniego ważności* Zakładu czasopisma *) — który sam do niezdolności należytego ogłaszania rękopismowych zabytków zakładu przyznaje się i żadnych przeto wydań czynić nie myśli — który nie pojmuje wcale istoty zakładów pnblicznych, który uznane przez siebie samego *zamiary* Oss., skoro tylko paragrafem nie objęte, łży *fałszem* i z bezprzykładną bezwstydnością zapiera się jawnie myśli, w jakiej Zakład był założony, wyrzeka się głośno chęci kierowania zakładem w duchu, w zamiarze założyciela — który nie ma żadnego „namaszczenia literackiego — który znaczną cześć czasu dla innych obowiązków Zakładowi urywa — który wszystkie grzechy dawnej dyrekcyi, jak owo bezładne zakupowanie ksiąg, w obronę bierze i dalej przeto wszystkie ciągnąć jest gotów — iż taki człowiek nie ma żadnego uzdolnienia na dyrektora zakładu publicznego, naukowego, nie powinien być dyrektorem. Reszta nie do nas należy.

---

*) O pana Szl. „*Pamiętniku literackim*" w następnym numerze.

Pan Szl. kończy swoją ostatnią odpowiedź oświadczeniem, że się „*kategorycznie wytłumaczył*". I my także wytłumaczyliśmy się kategorycznie. Dlatego nie potrzebując już nowych przeciw p. Szl. dowodów, jakichby on sam w dalszej polemice mógł nam nastręczyć, kończymy z naszej strony polemikę, zostawiając odtąd wolne przeciwnikowi naszemu pole. Bo właściwy panu Szl. tryb polemizowania gotów jest polemizować w nieskończoność. Jestto tryb, jakim zli adwokaci ślizkie procesa wiodą. Byle nie zostać dłużnym odpowiedzi na termin, byle przeciągnąć proces! Ztąd na kopę słów przeciwnika dość jest umleć kopę i jedno jakichkolwiek słów w odpowiedź. Treść i waga słów przeciwnika nie należą wcale do rzeczy. Przy takim talencie, przy takiem pojęciu rzeczy, można być podrzędnym bióralistą, ale nie zapaśnikiem w polemice naukowej, ale nie dyrektorem wielkiego zakładu naukowego, zakładu *narodowego!* *)

*) Artykuł niniejszy napisał na wezwanie Redakcji p. K. Szajnocha.

O pismiennictwie czasowem w Poznańskiem.

II.

Wolność duszy jak ciała, skrępowana częściowo w czemkolwiek, więzi całą duszę. Za tem też idzie, iż sądu naszego nie odnosimy do ogólnych zasad, tylko do własnego wyjątkowego położenia. O tyle wolni jesteśmy i działamy wolno, o ile nam to częściowe skrępowanie dozwala. Dłużej czy króciej, zawsze na sznurku. Taka połowiczna wolność, a połowiczna niewola, połowiczna odwaga a połowiczna bojaźń, daje połowiczne zasady, połowiczną prawdę, połowiczną sprawiedliwość; a jak w zastósowaniu do całych narodów tworzyłaby zamiast osobnej narodowości, narodowość osobliwą, tak w zastósowaniu do osób i pism tworzy ludzi osobliwych i osobliwe pisma. Mamy tego dowód w Gazecie Polskiej, przedstawiającej widok szczególniejszych rozpadlin nie połączonych, tylko arkuszem papieru, na którym się objawiają. To radykalizm, to ultramontanizm, to postęp, to wsteczność, to za powszechnymi wyborami, to przeciw pospólności (socjalizmowi) czyli rękojemstwu (solidarności) spółecznemu i politycznemu. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Narodowości są czynnikami do dopinania celu w ludzkości, jak pojedyńcze członki odnośnie do swego organizmu. Nie trzeba z narodowości robić narodowych egoizmów. Polityka narodowa, aby reakcyjną nie była, powinna pojednywać wyłączne swoje prawa i potrzeby z prawami i potrzebami całej ludzkości. (Znoszenie targów niewolnikami). Jak obywatel pilniejszy wrzeczach własnego niż pospolitego dobra jest egoistą i wstecznikiem, tak też naród przekładający własny parcjalny interes nad interes pospolity narodów. Przyznajemy, nierówność obywatelska, chociaż przynosi pewnym stanom rzeczywiste korzyści, jest dla narodu szkodliwą. Nazwalibyśmy reakcyjnym tego, ktoby dla polityki domowej za pańszczyzną obstawał; a od narodu żądamy, aby dla polityki narodowej nie sprzyjał wszędzie i zawsze sprawie postępu? Aby, nim weźmie przynajmniej serdeczny udział w jakiej sprawie, nie na zasadę zważał, tylko na zysk, jak kupiec, nie na moralną podstawę wzajemności, tylko na pokrewieństwa; aby uczucia braterstwa na targ przynosił, lub nepotyzmem pokalał? Śliska to przyjaźń, brudne uczucie na interesie oparte.

Gdyby Gazeta Polska była na wzór wielu pism umiarkowanych, wyrazem politycznego eklektyzmu, to jest: nie wdającą się w dalekie następstwa zasad ogólnych, tylko zważającą na chwilową, bliską użyteczność, na potrzeby wyłącznie nasze i teraźniejsze; gdyby nie podzielając ani pospiechu w postępie, ani uporu w wsteczności średnią zalecała drogę; toćby pomiędzy jej twierdzeniami nie było owych bezdennych przepaści. Wybory powszechne rodzą koniecznie pospólność. Nie jest więc Gazeta Polska umiarkowaną, ale exaltowaną na obydwa przeciwne końce, raz w postępie, raz w reakcyi; to wyprzedza, to powściąga. I zkądże to pochodzi? Oto, chcąc dowieść i użyć wolności myślenia, goni i goni bez tchu, póki jej gdzie naraz nie zawadzi ów strętwiały nerw duszy, który, Bóg świadek, radbym umiał nazwać inaczej, jak katolicyzmem. Nie tenże jest niepewny chód paralityka złożony z kurczowych drgań, to wprzód to w tył.

Pomiatana sprzecznościami Gazeta Polska, nie ma kompasu, aby w teraźniejszej nawalnicy kierować łodzią opinji publicznej.

O Gazety Polskiej feletonach, mówić niechcę, bo mam je za potwarze dla tego, że oskarzają umysłowy ruch w Poznańskiem o przypadkowość, o bezdążność, o bezrozum, o walkę na ślepe wyrazy.

Najlepszą odpowiedzią na te zarzuty jest *Dziennik polski*, który na każde zagadnienie objaśnia z cierpliwością, co rozumie pod postępem, co pod reakcją, co pod oświatą, co pod socjalizmem, co pod polityką zewnętrzną i t. d. Dziennik Polski jest pismem postępowem i zarazem umiarkowanem. Poswięcony polityce, nie wdaje się zaczepnie w drażliwe dla ks. Poznańskiego kwestje, ale też nie dopuszcza im krępować się w wolności myślenia, owszem używa jej całkowicie ku wyrozumieniu i obronie swych zasad. Nie wyzywa zuchwale, tylko wykłada i upo-

wszechnia swe zdania, a zaczepiony, sądząc że zrozumianym nie był, tłumaczy się jaśniej. Rozróżnia wyraźnie jezuityzm od chrześcianizmu, mimo lamentu Przeglądowców, że Jezuici spotwarzeni zostali. Jest za powszechnemi wyborami, jako za prostą wynikłością ludowego wszechwładzctwa. Uważa pospólność jako prostą wynikłość wyborów powszechnych, za możliwą i potrzebną dla Francji *teraz*, dla nas *kiedyś*. Zachowuje tedy pomiędzy twierdzeniami swojemi ścisły związek. Ztąd też pochodzi częściowe przeciwieństwo, częściowa zgoda Dziennika polskiego z Gazetą polską.

Dziennik Polski o tyle tylko jest opozycyjnym, o ile redagowanym przez Polaków. Zdaje się iż, opozycji obszerniejszej, iż starciu się wszechstronnemu wszystkich zdań społecznych, poświęcona będzie Gazeta Wielkopolska niedzielna. Chociaż, powiedziawszy mimochodem, ten wyraz *niedzielna* mnie razi, bo chciałbym, aby dzielną była. Gazeta ta poczęta nie dawno, nie wyrobiła jeszcze sobie znamion wybitnych; jeżeli wynajdzie odpowiednie chęciom zdolności, zajmować będzie niepospolite miejsce.

Wychodzą jeszcze w Poznaniu pisma czasowe dla ludu wiejskiego. Już zamierzenie samo wielce jest chwalebnem.

Wyokazują dzieje, więc jest dowiedzionem, że katolicyzm jest jednym z przyrodzonych, koniecznych okresów w rozwoju idei chrześciańskiej. Był on jej pierwszem ciałowzięciem, pierwszem przeobrażeniem poganizmu, katolicyzm jest w wzroście chrześcianizmu pierwszym okresem. Lud nasz wiejski znajduje się jeszcze rzeczywiście w obrębach tego zakresu. Jedni rosną sporzej, drudzy powolniej. A zatem pisma czasowe dla ludu, takie, jak Wielkopolanin, jak Wiarus, tchnące przytem miłością ojczyzny, uczące dziejów przeszłych i obecnych, są bardzo użytecznemi pismami, bo rozszerzają koło wiadomości ludowych, oświecają go, podnoszą wyżej. Przeciwnie zaś Przegląd Poznański, któryby chciał z wyższego stopnia oświaty, ściągnąć na niższy, jest pismem wstecznem, nie oświeca, lecz zaciemnia, nie naucza, lecz bałamuci.

Tomko Prawdzic.

Wierutna Bajka

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

XVII.

Nazajutrz znowu ochłonąwszy, nabrawszy siły, posłusznej swej dziwnej, zawsze w nim tkwiącej mysli, Tomko powracał do nadaremnych i zawiedzionych poszukiwań. Baron wszędzie mu towarzyszył. Szukali teraz filozofów i chcąc się bliżej niż na sali przypatrzeć jednemu z nich, zapukali do drzwi jego pomieszkania.

Wciemnej sieni brudna ich spotkała kucharka i zmierzywszy oczyma. nagdérawszy pod nosem, otworzyła drzwi do pokoju, mówiąc — Poczekajcie!

Tomko zBaronem pozostali sami na chwilę w przedpokoju, gdzie jeden chudy kanarek trzepiotał się po klatce. Drzwi otwarte do bawialnego ukazywały w nim kilka starych krzeseł, kanapę z włosienia i stolik dość nieczysty. Z trzeciej izby głos ich dochodził gderliwy, wybuchający chwilami wśród sprzeczki jakiejś dość żywej.

— Ba! pomyślał Tomko, Filozof ani chybi dysputuje. Mimowolnie wkrótce też i dysputy dosłyszeli.

— Twój zastaw nic nie wart.

— Wielmożny panie, perły.

— Zbieranina nierównéj wielkości i wody.

— Wielkość! woda! rozumiem rzekł roztargniony Tomko, jest to dysputa o początku wszech rzeczy.

Ale następne wyrazy wywiodły go z błędu.

— Dam dziewięćset ani szeląga więcej.

— Wielmożny panie! półtrzecia na miesiąc i zgóry czy to może być?

— Chcesz, niechcesz, jak ci się podoba.

Potem umawiano się ciszej, Tomko już nic zrozumieć nie mógł.

— Są to formuły, mówił w duchu pocieszając się, potrzeba być wtajemniczonym.

Nareszcie drzwi się otworzyły i w szlafroku zatłuszczonym, z gołą wyschłą i pomarszczoną szyją, łysy, w okularach, wszedł mistrz.

— Kłaniam się! rzekł.

Tomko przystąpił zuszanowaniem, pocałował go nawet w rękę podobno i zaczął mówić —

Co mówił? niepowtórzymy, z przejęciem opowiadał mu swoją historją: stary słuchał go, to z marsem na czole, to z pół uśmiechem, to ramionami ruszając.

— Chcecie poznać prawdę, rzekł naostatek, a no! to chodźcie na moje lekcje — Jeśli jest gdzie prawda znajdziecie ją niechybnie w moich sexternach, a myjcie sobie głowę zimną wodą rano i wieczór. — To mówiąc zuśmiechem zawrócił się i wyszedł.

XVIII.

Baron trzymał się za boki od śmiechu którego pohamować nie mogł.

— Stary głupiec, stary lichwiarz! wołał, po cóż bo było iść do niego. Prawda, sam cię poprowadziłem, i muszę wynadgrodzić ten zawód. Chodźmy do innego, do młodszego i pełnego życia nauczyciela.

Poszli znowu.

Za dymem mnogich fajek i wrzawą okrutną ledwie doj-

rzeć i dostąpić było można do nauczyciela, którego głos ginął wśród tłumnie zebranych gości wykrzyków. — Mistrz właśnie grał w karty i lulkę palił, weseląc się z przyjacioły.

— Przyprowadzam wam ucznia, rzekł przedstawiając Tomka Niepokojczycki, pragnie on gorąco prawdy i szukając jej chodzi po świecie, jak dziad za żebraniną.

Rozśmiał się na całe gardło już widać uprzedzony uczony, zmierzył oczyma od stóp do głowy biednego Tomka i rzucając karty o stół, a zarzucając na tył gęstą czuprynę, zawołał patetycznie:

— Lubię to poświęcenie i zapał młodzieńczy! *macte animo*, znajdziesz czego szukasz!

Rozpocznij studja pod mojem przewodnictwem; nie poprowadzę cię staremi, wybitemi drogami, które do niczego nie wiodą. Na nowych świeżo przetrzebionych gościńcach prawda być musi. Pójdziemy za Kantem i Niemcami, oni mozolnie prawdą ku jasności prowadzą oni wskazują prawdę i złudzenie —

— Mistrzu! dzięki ci! więc widzicie prawdę oko w oko i przypuszczeni jesteście do jej przybytku!

Hm, to jest, odparł nauczyciel młody— my dotąd jesteśmy jeszcze tylko na drodze, ale nie u celu jeszcze— Praca dopiero poczęta! Ale już wiemy dotąd co nie jest prawdą; wywracamy fałsze.

Budujecie gmach nowy — ?

Zakładamy fundamenta; przygotowujemy się.

J doszliście? dorzucił Baron.

—Prawdy względnej, bezwzględnej czekamy jeszcze, ale i to z czasem przyjdzie.

— Téj i ja szukam.

— J my także! To mówiąc professor usiadł do kart i mrucząc odwrócił się tyłem.

— Chodźmy rzekł Tomko do Barona.

— Chodźmy.

XIX.

Coraz większe zrażenie po każdej próbie nowej opanowało biednego wędrowca; wychodząc z mieszkania zwolennika nowej filozofji głowę miał spuszczoną, ręce opadłe i myśl zbłąkaną zupełnie.

Baron kroczył za nim trjumfalnie. Wulicy spotkali człowieka zadumanego, który w okularach stojąc w rogu kamienicy zagapił się na dwa psy leżące nad kością, o którą się pogryść miały. Okrągły i wcale poważny brzuszek, twarz rumiana, wyraz spokoju odznaczały go, ręce miał na tył założone, ciepłą czapeczkę nasuniętą na uszy.

— To także nauczyciel! szepnął Baron, znam go nawet trochę, wdajmy się z nim w rozmowę, czas przejdzie, nie wadzi spróbować.

Tomko nie sprzeciwiał się, a German w kilku słowach począł od treściwej historji młodzieńca któremu narzucił się za przewodnika.

Staruszek słuchał, usmiechnął się i wreście gdy psy z których oka nie spuszczał pouciekały rzekł idąc i wiodąc ich z sobą:

— Szczęście wasze, żeście trafili na mnie, u mnie to dowiécie się prawdy — Posłuchajcie, rzecz jasna i krótka.

— Prawdą jest materja fałszem jest duch.

— Swiat więc cały jest li tylko materją? spytał, Tomko a pierwiastki piękności, ładu, porządku, jakie w nim widzimy?

— Dzieła przypadku moje serce.

— I niesmiertelne?

— A kto ci to powiedział?

— Dzieje wieków —

— Ba! dzieje chwili powiedz, bo lat kilka tysięcy, to chwila tylko.

— A przyszłość? spytał jeszcze chciwy młodzieniec

— Jaka? przyszłość świata?

— Nie nasza

— Zgnilizna, smierć i nowe pod nową postacią życie.

— A to co w nas myśli i mowi?

— Zawsze kochanku obałamuca cię ta fikcja duszy, której się pozbyć niemasz siły! Cacko z dziurką dla dzieci! Gdziesz u diabła ta dusza? Bawią was jak niemowlęta, którym czego dziś dać niechcą odkładają na jutro — Jutro! przyszłość Tere fere kuku! będziecie ją widzieli. Dzieci! dzieci!

— Smutna wasza prawda, panie

— Zapewne, ale czysta i jasna.

— Nie! nie! nie! zawołał żywo uczeń. Mowicie niema na to, czego niepojmujecie, czego nie możecie pojąć; mówicie nie ma duszy aby ją nie tłumaczyć, nie chwytać, abyście nie byli zmuszeni wyznać bezsilności waszej. Ja czuję duszę moją wlaną w ciało jak wodę w naczynie, czuję że ją to ciało więzi i pęta, że ją krępuje, że nią rzuca; ale niemniej czuję że to co we mnie żyje znikomym prochem być niemoże. No toż by dana mi była myśl siągająca jak Tytan pod niebiosa, by ze mną zgniła i zamarła? Nad wszelkie rozumowania silniejsze we mnie jak to uczucie duszy, bez którego żyćbym nie mógł! wszystko ciałem! wszystko materją? Z kądże życie?

— Siła materji.

— Aleć wszelka siła jest duchem; siła co porusza swiaty, co żywot daje, co wstrzęsa wywraca, rodzi i zabija, to nie materja, to duch! . . . .

— A jakżeś głupio uparty, moje serce! zawołał starzec Co to darmo cieniaki sobie stawić — Duch! duch! A materja? z kądże się wzięła materja; duchli ją stworzył? jestli tak, dla czego i poco? jeśli nie, więc była, od wieku? a była czemś od ducha oddzielném. Mamy więc *ab ovo* dwoje kłótliwych pierwiastków — kto tu starszy, kto tu młodszy? kto komu zdrogi ustąpi! Głupstwo! A jak przypuscisz tylko, co musisz uczynić, preexystencją materji, toś moj!

— Nie mistrzu, ja też tego nie przypuszczam. Wszystko

co jest własnością, *qualitas,* pochodzi od ducha, *quantitas* tylko jest materją. Odbierzcie wszelką *qualitas,* wszelką własność, to jest wszelkiego ducha materji, a rozsypie się w nicość. W ten sposób pojąć możecie, że i stworzona sprawa ducha z niczego być mogła.

— O! to już bredzisz kochanku! i *de grubis!* rzekł stary ruszając ramionami. — Wszystko powtarzam ci, w bij to sobie w głowę bodaj siekierą czy młotem, wszystko jest materja, a krom niej niema nic. Materja jest nieśmiertelna objawy jej życie wiekuiście różne. Z resztą przyjdź do mnie kiedy chcesz do domu, bo teraz niemam czasu, dobranoc.

Tomko trochę ogłuszony i przybity pozostał w ulicy: potem w myślach cały posunął się powoli za miasto, w przedmieścia i aż nad brzeg rzeki na której usiadł obrywie, spoglądając pytającym, błagalnym wzrokiem na niebo, wody i swiat.

XX

Baron German von Teufel nieopuszczał go na chwilę, biegł za nim, czepiał się sukni, wieszał się czasem na jasnym włosie i ulatywał z nim w powietrzu, dziwne hołupce wycinając nóżkami. Gdy Tomko usiadł, skoczył przed niego, zażył tabaki i ukłoniwszy się ze swym grzecznym nśmiechem, rzekł:

— Ależ biegłeś paneczku.

— A i wy tu?

— Zawsze kochanie moje.

Tomko głowę odwrócił:

Obok niego siedział ktoś nieznajomy, stary dziwnie łysy (jak kolano z pozwoleniem waszém) schylony we dwoje wyschły jak stara okładka i tak zamyślony, że nic go wywieść z tego stanu osłupienia nie mogło. Trzymał on wędkę w ręku i patrzał na nie poruszony jej sznurek, który się w wodzie zanurzał. Twarz jego pełna była wyrazu łagodnego smutku, którén czas widać długi, zmienił w naturę: oczy, usta, czoło uśmiechać się zdawały boleśnie i zlitością. Suknia na nim była łatana i wytarta do nitki i obówie sznurkami przymocowane do nogi, a czapka w której leżały robaczki i haczki, prawie od dziur licznych przezroczysta.

— Dzień dobry, profesorze, rzekł baron do niego.

— A co? i to profesor? spytał Tomko.

— A jakże, i niepospolity! Całe życie także szukał prawdy, uczył się, pracował i na starość doszedłszy że prawdą jest na dnie wody w postaci wielkiej ryby, siedzi z wędka nad brzegiem, żeby ją złapać. — I odwracając się do starca spytał Baron.

— Cóż tam prawda, profesorze?

— Zawsze jest nadzieja połowu.

— Ale dotąd?

— Dziś już ją pewnie złapię.

— Niechcielibyśmy przeszkadzać w tak ważnem zatrudnieniu, rzekł niemczyk, ale oto jest wielkich zdolności uczeń, który by rad od was choćby trochę historji prawdy się dowiedzieć, jeśli nie jej samej; bo ona sama jak mówicie stała się w końcu rybą.

— Tak jest i tak jest! stała się rybą i pływa na dnie wód! dziś ją złapię niezawodnie a jeśli ciekawy, niech słucha pan uczeń rzekł stary nieodwracając głowy. — Powiem mu co wiem; a jeśli dziś jak niemylnie wnoszę złapiemy ją, to się nią podzielim, i nie tylko my, ale ludy całego świata, jak Leviathanem na wielkiej wieczerzy nakarmią się do sytości.

— Byleby się wędka nie urwała, gdy ją dobywać będziemy! rzekł Baron.

— Otóż to i mnie frasuje. —

— A tymczasem professorze, ad rem, słuchamy twej historji, którą opowiadasz tak pięknie, uczeń ciekawy i pojętny.

— Słuchajcie, tylko zmiłujcie się, jeśliby się złapała, pomożecie mi ją za to wyciągnąć.

— Z całego serca.

Stary profesor odkrząknął i w te słowa mowić począł głosem jak z katedry.

— Jak tylko się człowiek najadł, napił, wyspał od krył i uczuł że bestja dosyć, zaraz się domyślił że jest w niem coś drugiego krom zwierzęcia, uczuł się człowiekiem, aniołem, duchem, a czując także głód w duchownym swoim żołądku, począł szukać prawdy, któraby go nakarmić mogła.

— Której by nie było powiadasz pan, gdyby się człowiek — bestja, wprzód nie najadł i nie napił.

— Oczywiście lecz to mniejsza.

Obróciwszy się na wschód, tę kolebkę rodzaju ludzkiego ujrzysz tam naprzód wyradzającą się ideę prawdy w osobie bóstwa jednoczącego w sobie wszystko, począwszy od komara do słońca i człowieka. Wszystko zawierał Brahma; a zaraz i to wszystko jakoś rozbiło się na troje; urodziła się z jedności trójca. Trójca znów skleiła się w jedność. Ludzie szukali prawdy zatapiając się w bóstwie, jednocząc się zniém zjednoczeniem takiem, że sobą być przestawali.

— Zapomnieli nieboracy na którym byli świecie.

Opowiadanie starca przerwał Baron okrzykiem:

— Professorze! professorze! schylasz się nadto. — Ale jeszcze tych słów niedomówił, gdy starzec któremu wędka zadrżała w ręku, w obawie aby złapanej prawdy nie wpuścić, rzucił się naprzód chwytając łapczywie wędę, pochylił, zachwiał i upadł w rzekę; tak że tylko dziurawe jego buty ukazywały się nad wodą...

Tomko bez namysłu rzucił się za nim ratować, a German zażywając tabakę, szeptał patrząc obojętnie.

— Teraz to się już prawdy domacacie nieochybnie..

Próżne były usiłowania Tomka, który starego chciał

wyratować; ogromny sum złapał się był na wędę i ciągnął go na głębią, a młody chłopiec sam począł tonąć naprożno szaleńca usiłując zdobyć. Wreście zalany wodą, na w pół żywy, szamocąc się ze starym, gdy postrzegł że siły go opuszczają, smutny wyrwał się na brzeg rzeki.

— Szkoda reszty historji filozofii, zawołał baron do Tomka który się drapał na urwisko, ale teraz już jeden z was niechybnie prawdy się dowiedział; my chodźmy do domu, bo się jeść zachciewa.

Przez kilka dni jeszcze od drzwi do drzwi błąkał się Tomko naprożno.

Po kilku tygodniach pobytu w mieście, Tomko stał się do siebie niepodobnym: zrażony, ostygły, osłupiały zadumany, milczał w chorobliwém jakiems odrętwieniu zostając. Było to coś na kształt Bramańskiego zatopienia się w wielkiej istocie, chwila bezmyślnej martwości, brak woli, brak pragnienia, brak żywota; nie rozpacz ale zobojętnienie od niej straszniejsze. Baron patrzał na niego z uśmiechem politowania, przychodził coraz rzadziej, gniewał się coraz częściej, nareszcie jednego wieczora naprożno usiłując go wciągnąć w nowe badania, w nowe go rzucić zajęcie i zamęt, plunął, szusnął nogą i zniknął.

Dymek tylko smrodliwy zakuszył się za nim, a Tomko pozostał, sam jeden.

Co się później z nim stało, niewiemy; jesienią późną dopiero, odarty, w łachmanach na ciele i duszy, wlókł się drogą ku domowi, sam prawie niewiedząc dokąd idzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korespondencja literacka.

Ze Lwowa. — (*Wyjątek z korespondencji.*). . . Należałoby, szanowny Redaktorze, bardziej uwzględnić poetyczną stronę twojego dziennika, który tak szczęśliwie obfitując w artykuły poważniejszej treści, uwydatniłyby tem jaśniej ogólny, artystyczny swój układ, gdyby pożywne swe owoce, wonnemi czasem przeplatywał kwiatami. Polsce nie braknie poetów! — Przecież wieloma śpiewakami pochlubić się ona nie może. A iw tem szczupłem gronie jedni zamilkli całkiem albo już zachrypniętym odzywają się głosem, młodsi przebywszy paroxyzm egotycznego liryzmu, z księżycowych słowików przedzierzgają się powoli w orłów i czekają póki im skrzydła nie wyrosną. A temczasem twojemu pismu szanowny redaktorze, potrzeba poezji, poezji lotnych jak motyle, krótkich jak oddech rozgorzałej piersi, poezji których początek i koniec dałby się zamknąć w kilku kolumnach, bo trzeba ci wiedzieć że większa część czytających w każdéj rzeczy przedewszystkiem chętnie dopatruje się całości, a ztąd ustępy z prac większych chociażby były poprzedzone zalecającym wstępem jak w *Samsonie,* nie wiele znajdują wielbicieli. — Owoż spodziewam się zrobić ci przysługę literacką odkrywając twemu chciwemu redaktorskiemu oku nowy poetyczny talent, talent młody, niezaprzeczony, a który jak wszystkie wyższe talenta lubią ukrywać się w cieniu i przedwczesnego lękają się rozgłosu. Takim talentem jest *hr. Agnieszka Pinińska.* Do skromności więc literackiej przyczynia się jeszcze nieśmiałość jej płci właściwa, którą jeśli ci się uda zwyciężyć, uzyskałbyś dla swego pisma znamienitego i gorliwego współpracownika. Byłoby wielką stratą dla literatury gdyby utwory p. Pinińskiej zadowalniały się nabytą sławą jedynie w kółku rodzinnym i przyjacielskim, utwory te pełne świeżości i niekłamanego natchnienia odbywszy w twoim dzienniku szanowny redaktorze, żelazny chrzest czcionkowy, powinny śmiało stanąć przed światem, aby „do nieba sięgać po laury.“ — Sądząc z kilku drobnych poezji które w rękopismie moich rąk doszły, przybył nam w osobie p. Pinińskiej pisarz niepospolity, utwory jej zadziwiają niezwykłą potęgą myśli obok Bogdanowej słodyczy formy i wyrazu; zresztą na całą ich pochwałę dodam to jeszcze, iż z grona otaczających ją osób, sam znam ich kilka, które chociaż nie obdarzone najmniejszym poetycznym zmysłem, nieraz przez kilka godzin ciągiem bez znużenia przesłuchiwały się czarownym dźwiękom, płynącym z czarowniejszych ust samejże autorki, a w końcu „cała drużyna rozpierzchła się unosząc zadziwione słuchy.“ —

Wydawca: ***Karol Wild.*** Redaktor: ***Karol Widmann.***

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie** przy ulicy krakowskiej pod l. 77.